

Jak okupacja zmieniła Izrael

24 lipca 2010

Nasza pamięć niekiedy nas zawodzi: chociaż od wojny sześciodniowej dzieli nas czterdzieści lat, część Izraelczyków nadal chętnie wierzy, że okres przed 1967 rokiem był złotym wiekiem, naszym utraconym rajem, a Izrael przed 1967 rokiem był społeczeństwem dobrym i uczciwym, w którym wartości pracy, pokory i solidarności przeważały nad chciwością i egoizmem, wszyscy się znali i, przede wszystkim, nikt nie zajmował niczych terytoriów.

Oczywiście, jest to czysta iluzja. W 1966 roku, ostatnim przed okupacją, bezrobocie osiągnęło rekordowe 10%, gospodarka znalazła się w stanie poważnej recesji i, po raz pierwszy w historii kraju, więcej Izraelczyków go opuściło niż przyjechało nowych imigrantów. Co więcej, właśnie w tym roku 400 000 żyjących w Izraelu Arabów, którzy nie opuścili swoich domostw po wojnie 1948 roku, widziało się już uwolnionych od "zarządu wojskowego". Ich sytuacja nadal pozostała krytyczna, a ziemie stopniowo konfiskowano pod budowę nowych osiedli żydowskich.

POTĘGA ZAMIAST BEZPIECZEŃSTWA

Począwszy od wojny sześciodniowej Izrael zaczął być postrzegany jako wojskowe supermocarstwo regionalne, wręcz międzynarodowe. Jednak rzadziej już wspominało się o tym, że wojna całkowicie zmieniła gospodarkę kraju. Ta zaś kwitła, recesja się skończyła, a bezrobocie mocno spadło. Czterdzieści lat później Izrael stał się innym państwem. Podczas gdy w 1967 roku produkt narodowy brutto na mieszkańca sięgał zaledwie mizernych 1 500 dolarów, w 2006 roku osiągnął 24 000 dolarów (17 700 euro), co sytuuje Izrael na dwudziestym trzecim miejscu w Raporcie o Rozwoju Społecznym 2005, przygotowanym przez Program Narodów Zjednoczonych do Spraw Rozwoju. Co więcej, w ciągu czterech dziesięcioleci ponad półtora miliona

Żydów osiadło w Izraelu, liczba całkowita populacji żydowskiej wzrosła w ten sposób z 2,4 miliona do 5,5 milionów. Zatem można zrozumieć, dlaczego wielu obywateli Izraela uznaje wojnę sześciodniową za decydujący moment dla success story swojego kraju.

Z kolei dla innych rok 1967 stanowi przyczynę wszelkiego zła. Teoretycznie miażdżące zwycięstwo sił obrony Izraela nad trzema najpotężniejszymi armiami świata arabskiego – Egiptu, Jordanii i Syrii – powinno było uspokoić Izraelczyków i dać im poczucie bezpieczeństwa. Jednak tak się nie stało. Izrael jest wszystkim, tylko nie bezpiecznym miejscem, a od 1967 roku doświadczył przynajmniej sześciu konfliktów: wojna na wyczerpanie wzdłuż Kanału Sueskiego (1968-1970), wojna Jom Kipur (1973), dwie Intifady (1987-1993 oraz 2000-2005) oraz wojny w Libanie (1982 i 2006). Straciło w nich życie około 5 000 Izraelczyków i 50 000 Arabów – Egipcjan, Syryjczyków, Libańczyków i oczywiście Palestyńczyków. Krótko mówiąc, Izrael nie zakończył jeszcze siódmego dnia swojej wojny sześciodniowej.

Trudność krajowi sprawia nie tylko fakt, że konflikt nadal trwa, lecz również to, że armia nie wychodzi z niego bardziej zwycięska. Emerytowany generał, który został historykiem, Dow Tamari, zaobserwował po wydarzeniach w Libanie latem 2006 roku, że wojna 1967 roku była ostatnim niepodważalnym zwycięstwem armii. Jego zdaniem, wszystkie próby powtórzenia tego sukcesu kończyły się wycofaniem, a nawet przegraną. Za każdym razem Tel Awiw musiał też iść na znaczne ustępstwa. Wojna 1973 roku zakończyła się ostatecznie całkowitym wycofaniem z Synaju, zgodnie z warunkami porozumień pokojowych podpisanych z Egiptem w 1979 roku. Pierwsza Intifada doprowadziła do porozumień z Oslo w 1993 roku; inwazja na Liban w 1982 roku zakończyła się bezwarunkowym wycofaniem w 2000 roku. Natomiast druga Intifada doprowadziła do zrównania z ziemią kolonii osadników w Gazie w blisko dwa lata.

A co można powiedzieć o ostatniej wojnie w Libanie! Chociaż

klasa polityczna w pewnym momencie krzyczała o zwycięstwie, według badań opublikowanych przez Ha-Arec tydzień przed zakończeniem wojny, jedynie 20% Izraelczyków uznawało, że zakończyła się sukcesem. Ta trudność w odniesieniu prawdziwego zwycięstwa tłumaczy z pewnością, dlaczego pewien weteran polityki izraelskiej przyznał niedawno, chociaż anonimowo, że nie jest pewien, czy Izrael przetrwa jeszcze dwadzieścia lat. Czterdzieści lat okupacji nie wyciszyło więc obaw, lecz jeszcze je podsycało.

Kiedy rzeczy zaczęły iść źle? Nie stało się to wczoraj. Generał Mosze Dajan, najbardziej wpływowy polityk tego okresu, wygłosił po triumfie 1967 roku słynne zdanie: "Czekamy na telefon od Arabów". Chciał przekonać, że po tym telefonie Izrael wycofałby się z Terytoriów Okupowanych – Synaju, Strefy Gazy, Zachodniego Brzegu Jordanu i Wzgórz Golan – w zamian za porozumienie pokojowe ze światem arabskim. W książce 1967 (nie przełożonej na język francuski ani polski), historyk Tom Segew pokazuje, że intencja rządu była naprawdę zupełnie inna. Jednakże właśnie tak zaczęto postrzegać pozycję Izraela w świecie i w nim samym.

W PUŁAPCE KOLONIZACJI

W tym samym okresie Izrael rozpoczął też zresztą proces, który utrudnił, a wręcz uniemożliwił każde porozumienie oparte na wymianie ziemia za pokój. Lewi Eszkoł, znany jako gołąb, pozwolił pierwszym osadnikom osiedlić się na Zachodnim Brzegu Jordanu (w Kfar Ecion) jeszcze przed końcem 1967 roku. Minister obrony Mosze Dajan nakazał zniszczyć miasta i wioski syryjskie na zajęтым płaskowyżu Golan, aby umożliwić budowę kolonii izraelskiej na ruinach syryjskiego miasta Kunejtra. Na początku 1968 roku Izraelczykom pozwolono zamieszkać w samym centrum zajętego Hebronu.

Po blisko czterdziestu latach widać efekty! Centrum zmieniło się w miasto-zjawę, w którym Palestyńczykom nie wolno mieszkać, przechadzać się ani robić zakupów – a wszystko po

to, aby około 500 żydowskich osadników miało dość wolnego miejsca! To nie przypadek, że właśnie w Hebronie doszło do pierwszego zamachu samobójczego, po tym jak w 1994 roku Baruch Goldstein zamordował 29 muzułmanów w meczecie Abrahama, w Grobie Patriarchów.

Wystarczy rzut oka na mapę, aby zrozumieć, że kolonie na Zachodnim Brzegu Jordanu powstały według planu ustalonego z góry, aby z jednej strony, oddzielić społeczności palestyńskie od siebie nawzajem, a z drugiej, aby stworzyć ciągłość między koloniami żydowskimi a terytorium Izraela sprzed 1967 roku. Nowe domy wzniesiono również wokół dzielnic arabskich w Jerozolimie, aby oddzielić wschodnią część miasta od sąsiednich miast i miasteczek palestyńskich, oraz w Dolinie Jordanu, aby oddzielić zachodni brzeg rzeki od Jordanii. Wzdłuż osiedli zbudowano drogi, nawet w samym sercu Zachodniego Brzegu Jordanu, aby odciąć Nabulus od Ramallah lub Kalkilję od Tulkarm.

Wielki architekt kolonizacji, Ariel Szaron, oświadczył otwarcie w 1975 roku, że jego celem jest zablokowanie powstania jakiegokolwiek formy państwa palestyńskiego. Ta strategia, wspierana przez lata przez wszystkie rządy, od prawicy do lewicy, ostatecznie zakończyła się sukcesem. Ponad 250 000 Izraelczyków mieszka dzisiaj w setkach osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu, nie mówiąc już o 200 000 mieszkańców nowych aglomeracji wzniesionych w okupowanej Jerozolimie. Właśnie ich liczba pozwoliła zmodyfikować postawę klasy politycznej względem nich: odtąd, z wyjątkiem organizacji arabskich i Partii Komunistycznej, wszyscy wysoko postawieni w Izraelu – od Josiego Beilina do Ami Ajalona, od Ehuda Olmerta do pani Cipi Liwni – uznają, że wcielenie tych "grup osiedli" powinno stać się niezbędną częścią wszystkich porozumień pokojowych. Trasę słynnego muru oddzielającego wytyczono tak, aby włączyć je do Izraela.

Nadal jednak dziwi, że ci sami przywódcy, w tym Ariel Szaron przed udarem, uznają dzisiaj prywatnie, a niekiedy publicznie,

że kolonie stanowią główną przeszkodę w podpisaniu porozumienia pokojowego z Palestyńczykami i całym światem arabskim. Izrael jest ofiarą tego potwora, którego sam zbudował w ciągu czterdziestu lat okupacji. Nie może włączyć kolonii nie anektując Zachodniego Brzegu Jordanu, a ten krok odrzucają nawet rządy najbardziej skrajnej prawicy, z powodu komplikacji na płaszczyźnie międzynarodowej, prawnej i przede wszystkim, demograficznej – gdyż z powodu różnicy przyrostu naturalnego “Wielki Izrael” objąłby wkrótce większość palestyńską. Lecz nie można się od tego wyzwolić, w miarę jak kolonie zaczynają odgrywać rolę nieodłącznego elementu społeczeństwa izraelskiego. Kolonizacja stała się pułapką.

Czy Izrael rozmyślnie dał się zwieść? Przyzwyczał się do okupacji tak, że już nie może się bez niej obejść? Od czterdziestu lat żyjemy w społeczeństwie opartym na przywilejach. Nawet przed wojną sześciodniową imigranci przybywający z państw arabskich uzyskiwali prawa mniejsze niż Żydzi pochodzący z Europy, a Palestyńczycy mieszkający w Izraelu byli w jeszcze gorszej sytuacji. Lecz po 1967 roku państwo wprowadziło oficjalny system dyskryminacji: pozbawiło swoich praw politycznych milion Palestyńczyków, którzy w 1967 roku mieszkali na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy (obecnie jest to 3,5 miliona), a wszystkie aspekty ich życia znalazły się pod kontrolą dowódców wojskowych.

W ciągu tych czterech dziesięcioleci relacje między Palestyńczykami żyjącymi pod okupacją i Izraelczykami poważnie się pogorszyły. Lecz zdaniem tych drugich sytuacja, w której jedni korzystają z wszystkich praw, a drudzy są ich pozbawieni, jest zupełnie normalna. Palestyńczykom narzuca się coraz poważniejsze restrykcje dotyczące przemieszczania się, a fakt, że Izraelczycy mają okazję zetknąć się z nimi jedynie na Zachodnim Brzegu Jordanu, gdy odbywają tam służbę wojskową, jedynie podkreśla te różnice. Zakończenie okupacji równałoby się porzuceniu poczucia bycia uprzywilejowanym, a ten krok jest najwyraźniej bardzo trudny do wykonania.

Jedną z wielkich zmian w społeczeństwie izraelskim po 1967 roku była szybka transformacja w nowoczesne społeczeństwo kapitalistyczne. W wyniku wielkich prac podjętych po wojnie powstała potężna klasa przedsiębiorców, którzy mieli wolną rękę w taniej eksploatacji Terytoriów Okupowanych. Miliardy dolarów – od 1973 roku Stany Zjednoczone co roku przyznawały Izraelowi trzy miliardy tytułem pomocy wojskowej – przeznaczono na najbardziej skuteczną wysoką technikę wojskową, przekształcając kraj w supermocarstwo “hi-tech”.

KAPITALIZM PO IZRAELSKU

Wprowadzony przez okupację systemem przywilejów stopniowo, ale głęboko podzielił społeczeństwo. W 1967 roku ponad 80 % siły roboczej należało do jedyne, potężnego związku zawodowego, kontrolującego jedną trzecią gospodarki narodowej. System kibuców cieszył się jeszcze dużym powodzeniem. Obecnie w Izraelu do związków zawodowych należy niecałe 25 % pracowników, co sprawia, że jesteśmy jednym z najbardziej niesprawiedliwych społeczeństw w świecie zachodnim: według wskaźnika GINI, mierzącego nierówności społeczne, Izrael zajmuje sześćdziesiąte drugie miejsce, jedno z najniższych wśród państw o rozwiniętej gospodarce. Osiemnaście rodzin kontroluje 75 % gospodarki. Korzenie tej sytuacji częściowo tkwią w wojnie sześciodniowej.

Wspomnijmy o innych ważnych konsekwencjach. Po 1967 roku konflikt izraelsko-palestyński zajął czołowe miejsce na arenie międzynarodowej, może nawet najważniejsze. Izrael umiał skorzystać z tej sytuacji. To jest źródło jego doskonałych relacji ze Stanami Zjednoczonymi, ważnej roli na płaszczyźnie międzynarodowej, potężnej armii i dobrobytu. Nawet Liga Arabska, odrzucająca po wojnie sześciodniowej wszelkie negocjacje, proponuje mu odtąd zawarcie ogólnego pokoju z wszystkimi państwami arabskimi.

Jednak wśród konsekwencji 1967 roku znalazły się także aspekty negatywne. Izrael zyskał sobie uprzywilejowaną pozycję na

Zachodzie, gdyż państwo żydowskie jest uznawane za “krwawą linię frontową” [bleeding front] między Zachodem a Wschodem, między cywilizacją “judeo-chrześcijańską” – dziwny twór, jeśli zna się historię dwóch religii... – a cywilizacją muzułmańską. Po zamachach 11 września ta wizja rozpowszechniła się szeroko w Izraelu, nie tylko wśród prawicy religijnej, dla której już od 1967 roku kolonizacja dokonywana przez Izrael jest wynikiem woli bożej. To przekształciło konflikt izraelsko-arabski, początkowo terytorialny, a zatem polityczny, w konfrontację kulturową i religijną. Wicepremier i przywódca partii Israel Betenu (Izrael, nasz dom), która głosi “przeniesienie Palestyńczyków z Izraela i z Terytoriów Okupowanych”, zadeklarował ostatnio w dzienniku Haaretz, że Izrael jest “forpoczta świata liberalnego”.

To wszystko wyjaśnia poczucie apokalipsy, które ogarnęło różne grupy społeczeństwa izraelskiego po konflikcie z Libanem ostatniego lata. W miarę jak Hezbollah przedstawia się jako zbrojne ramię Iranu, a Republikę Islamską jako inicjatora tej wojny cywilizacji, porażka armii izraelskiej, potężnej i wszechstronnie wyposażonej, wobec kilku tysięcy szyickich bojowników, których uznawano za źle przygotowanych, stanowi prawdziwą traumę. Na północny Izrael w ciągu miesiąca wystrzelono tysiące pocisków, a armia nie zdołała temu przeciwdziałać. Wiele osób uznało ten fakt za znak, że my, Izraelczycy, nie jesteśmy pożądanymi w regionie, a w długiej perspektywie, być może pokona nas muzułmański olbrzym.

Krótko mówiąc, czterdzieści lat ostatecznie sparaliżowało społeczeństwo, do tego stopnia, że przywódcy nie mają już odwagi pracować nad rzeczywistym rozwiązaniem konfliktu. Okupacja zakończyła się opanowaniem Izraela.

Autor: Meron Rapaport

Tłumaczenie: Katarzyna Pachniak

Źródło: [Kampania Solidarności z Palestyną](#)

0 AUTORZE

Meron Rapaport – dziennikarz, pracuje w dzienniku Haaretz w Tel Awiwie.